NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 17700·— Mk. z przes. 18500·—Mk. Półrocznie 37000·— Mk. Rocznie 74000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłaconą ryczałtem.

Numer pojedynczy 1500 Marek.

Rok XX. Kraków, 14 kwietnia 1923. Nr. 15.

Zamordowanie ks. Budkiewicza przez bolszewików



(Rycina do artykułu na stronie drugiej).

Zamordowanie księdza Budkiewicza

przez bolszewików.

(Do illustracyi tytułowej).

Dzicz bolszewicka znowu zaczyna hulać. Zdawało się, że wobec powszechnego oburzenia, jakie w całym świecie cywilizowanym wywołało skazanie na śmierć przez sąd w Moskwie ks. arcybiskupa Cieplaka i ks. Budkiewicza, wyrok nie będzie na obu nieszczęśliwych ofiarach bolszewickiego teroru wykonany. Niestety stało się inaczej. Ks. arcybiskupa Cieplaka „ułaskawiono“ na 10 lat więzienia, lecz ks. prałata Budkiewicza zamordowano! W wielką sobotę wyprowadzono go do piwnicy czerezwyczajki moskiewskiej i tam jeden z oprawców strzelił do niego z tyłu w głowę. W ten sposób od kuli bolszewickich bandytów zginął dziekan petersburski, proboszcz głównej parafji katolickiej w stolicy nadnewskiej, kanonik honorowy mohylowski i prałat dworu Ojca św. ks. Konstanty Budkiewicz. Mord tego kapłana nie może być traktowany jako egzekucya. To zbrodnia wymierzona w Polskę i w całe chrześcijaństwo, któremu bolszewizm wypowiedział walkę na śmierć i życie!

Ks. Budkiewicz nie był pospolitym, tuzinkowym proboszczem, była to osobistość wysoce inteligentna, o charakterze silnym, wyrobionym, konsenkwentnie dążącym do założonego celu — i dlatego właśnie zginął.

Pochodził z guberni witebskiej, urodził się w 1867 r,, liczył więc 56 lat. Po ukończeniu wyższych studyów teologicznych w akademii duchownej w Petersburgu ze stopniem naukowym kandydata teologii, gdzie się odznaczał wybitnemi zdolnolnościami, został prefektem szkół w Witebsku. Za czasów carskich prefektura witebska nie należała do łatwych i dużo trzeba było mieć taktu i rozumu, aby nie trafio do rzędu „niebłagonadieżnych“ (nieprawomyślnych). Potrzeba lawirowania wyryła w charakterze ś. p. ks. B. zdolności dyplomatyczne, co przy spokojnym, zrównoważonym charakterze stało się początkiem wyrobienia z niego niepospolitego człowieka. W r. 1908 władza duchowna mianowała go proboszczem kościoła św. Katarzyny w Petersburgu. Kto znał Petersburg oraz stosunki, panujące w tamtejszej kolonii polskiej, ten rozumie doskonale, że świątynia, stojąca na głównej ulicy stolicy, widoczna dla wszystkich, była punktem najważniejszym, łączącym życie kolonii polskiej, Obszerna gospodarka, administracya szeregu kamienic, gimnazya żeńskie i męskie, szereg szkół początkowych przy kościele, szereg kościołów rozrzuconych po guberniach petersbu:skiej i ołonieckiej, należących do tej parafii — oto schematyczny zakres działalności proboszcza Ks. Budkiewicz rozumiał to zadanie szeroko, nie było rodzaju pracy społecznej i narodowej, któraby się nie oparła o jego gabinet. Dość powiedzieć, że w salonach ks. B. zrodziła się Macierz szkolna, a podczas wojny powstał polski komitet pomocy ofiarom wojny, którego ks. B. był wiceprezesem. Z chwilą zaś, gdy w r. 1907 ks. B. został dziekanem persburskiego dekantu, pod jego skrzydła weszła opieka nad katolickiemi placówkami całej północnej Rosyi.

Gdy w. r. 1919 bolszewizm zaczął zbierać krwawe plony, ks. B. musiał ukrywać się. Przebrany w świeckie suknie usunął się z domu plebanialnego i w dalszym ciągu z ukrycia czuwał i kierował, aż do chwili, gdy mógł wrócić na swoje stanowisko. W ciągu ostatniego roku był wysuwany na biskupa-sufragana mohylowskiego, wobec tego, że jak miecz Damoklesa wciąż wisiał nad sufraganem mohylowskim arcybiskupem Cieplakiem proces, grożący sparaliżowaniem działalności arcypasterza. Inną mu mitrę wdzieli na czoło oprawcy. Ks. Budkiewicz padł jako ofiara systemu bolszewickiego, który, w ostatnich miesiącach załatwiwszy się z prawosławiem, wszystkie siły wytężył, aby zgnębić religię wogóle, a w pierwszej mierze katolicyzm.

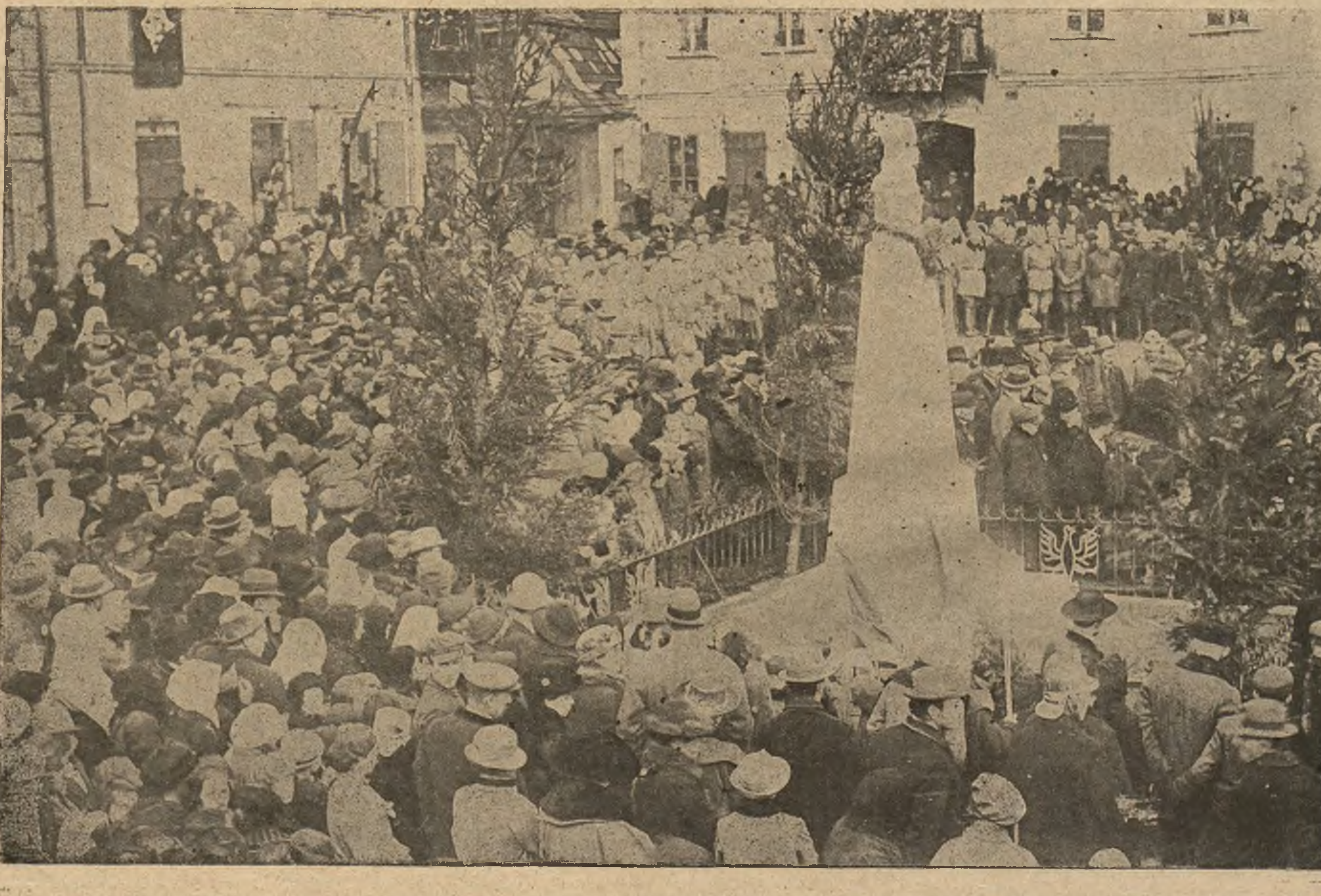


W hołdzie Naczelnikowi w sukmanie:
Pomnik Tadeusza Kościuszki w Działoszycach.

W hołdzie Naczelnikowi w sukmanie.

Niedawno odbyło się w Działoszycach odsłonięcie pomnika Tadeusza Kościuszki, wzniesionego staraniem miejscowego Koła Polskiej Macierzy Szkolnej. Od samego rana napływali do udekorowanego miasta ludzie z okolicznych wsi oraz wojska 2. P. P. Legionów z Pińczowa. Uroczystość zaczęła się od mszy św., po której uformował się pochód do pomnika T. Kościuszki. Na czele szła konna banderya z Racławic, za nią kompania honorowa 2. P. P. Legionów z orkiestrą. Następnie ochronka, szkoły, związki młodzieży, delegacye wiejskie, straże ogniowe, duchowieństwo z delegatami władz, z związkiem ziemian i z członkami Macierzy Szkolnej, a w końcu Rada miasta.

Sam akt odsłonięcia pomnika rozpoczął hymn „Boże coś Polskę“, następnie przemówił prezes Koła Macierzy Szkolnej p. Kazimierz Budzyński, przedstawiając w treściwych słowach historyę powstania pomnika. Podczas przemówienia w chwili oznaczonej odkrył pomnik powstaniec z r. 1863. porucznik wojsk polskich, Jan Winiarski, gospodarz z Dziewięczyc. Chwila ta była bardzo wzniosła i nigdy nie wyjdzie z pamięci obecnych. Wojsko oddało honory wojskowe, a orkiestra odegrała hymn narodowy. Następnie przemawiali kierownik szkoły ze Skalbmierza p. E. Mistecki i gospodarz z Miroszowa p. St. Manterys — podnosząc znaczenie dnia uroczystego, a wreszcie w krótkich a gorących słowach p. pułkownik 2. P. P. Legionów z Pińczowa do honorowej kompanii, zaznaczając, że 2. P. P. ma za patrona T. Kościuszkę, wobec tego dzień odsłonięcia pomnika jest świętem dla tego pułku, jak również dla Pińczowa i Staszowa, gdzie rozlokowanym jest 2. P. P. Legionów. Na koniec uroczystości zarządził p. pułkownik defiladę przed pomnikiem. Wszystkie formacye stąd wyruszyły na plac kościelny i tam nastąpiło rozwiązanie pochodu. Przedtem jeszcze raz prezes Koła



W hołdzie Naczelnikowi w sukmanie: Uroczystość odsłonięcia pomnika Tadeusza Kościuszki w Działoszycach.



Pięćdziesięciolecie pracy dziennikarskiej: Redaktor Zygmunt Fryling.



Wystawa uczniów Matejki: Artyści malarze (od lewej ku prawej): S. Radziejowski, L. Stasiak, W. Tetmajer, K. Żelechowski i W. Wodzinowski.

p. K. Budzyński podziękował wszystkim obecnym za tak liczne wzięcie udziału w uroczystości, a obecni odśpiewali „Rotę" Konopnickiej.

Na uroczystość tę nadesłali depesze: ks. biskup Bandurski z Wilna, p. wojewoda St. Pękosławski z Kielc i wielu innych, oraz zarządy Macierzy w Warszawie i w Kielcach.

Manifestacyjny pogrzeb

ofiar pruskiej zaciekłości.

Jak prawdziwi żołnierze na posterunku, zginęli z ręki pruskiego skrytobójcy francuski podporucznik Colpin i urzędnik kolejowy Joly, jak o tem donosiliśmy już w jednym z poprzednich numerów. Kula mordercy dosięgła ich, gdy po ukończeniu swej dziennej służby powracali do kwater w miejscowości Buer, w Zagłębiu Ruhry, gdzie wchodzili w skład armii okupacyjnej. Był to nie pierwszy i nie ostatni wypadek gwałtu, jakiego rozzuchwaleni Niemcy dopuszczają się wobec Francuzów, spotkał się też ze stanowczem wystąpieniem francuskiego dowództwa, które zagroziło, że w razie powtórzenia się ataków na członków armii francuskiej i francuskiego personalu urzędniczego, zastosowane będą najdalej idące represye.

Zapowiedź ta nie odniosła jednak spodziewanego skutku i nie podziałała uspokajająco na rozwydrzonych szowinistów niemieckich, którzy, zbyt pewni siebie, nie pomijają żadnej sposobności, aby Francuzom przeszkodzić w wykonaniu ich trudnego zadania. Wypadki prowokacy ze strony niemieckiej są na porządku dziennym, a ostatnie wydarzenia w Essen, gdzie przyszło do krwawego starcia, dowiodły, iż agitatorowie nie przebierają w środkach, byle wytworzyć jak największy chaos, z którego korzyści dla siebie chcieliby wyciągnąć z jednej strony niemieccy narodowcy, marzący ciągle jeszcze o rychłym odwecie, z drugiej zaś komuniści, starający się wyzyskać nadarzającą się sposobność do przeprowadzenia przewrotu społecznego.

W takich warunkach okupacyjna armia francuska ma przed sobą do zwalczenia nielada trudności, ale się niemi nie zraża, postępując stanowczo ale z wysokim taktem w raz obranym kierunku Na mnożące się gwałty ze strony Niemców odpowiada wprawdzie represyami, ale jakże różniącemi się od tych, jakich Niemcy używali na ziemiach francuskich i dziś się jeszcze do nich uciekają.

Pogrzeb ofiar z Buer dał też sposobność dowódcy francuskiego korpusu okupacyjnego do zaznaczenia publicznie w swej przemowie stanowiska, jakie rząd francuski zająć musi wobec nieprzejednanego oporu Niemców. Złożywszy hołd pamięci dwu ofiar swego obowiązku, podkreślił, że Francuzi nie ulękną się aktów gwałtu, a zadanie swe konsekwentnie do ostatniego punktu przeprowadzą. W obchodzie pogrzebowym, który przybrał charakter manifestacyjny, wzięło udział przedstawicielstwo armii okupacyjnej. Trumny ze zwłokami ofiar, okryte francuskimi sztandarami, złożono na lawetach armat i z honorami wojskowymi przewieziono na dworzec kolejowy w Buer, a stąd do ojczyzny.



Manifestacyjny pogrzeb ofiar pruskiej zaciekłości: Komendant wojsk okupacyjnych francuskich w Zagłębiu Ruhry, jenerał Degoutte, wygłasza żałobne przemówienie podczas pogrzebu zamordowanych w Buer Francuzów.



Z życia naszej młodzieży: Zespół amatorski uczniów Szkoły realnej we Lwowie.

Pięćdziesięciolecie pracy dziennikarskiej.

W ubiegłą niedzielę dnia 8. b. m. Syndykat dziennikarzy polskich we Lwowie uczcił obchodem pięćdziesięciolecie pracy dziennikarskiej jednego z najstarszych swych członków p. Zygmunta Frylinga. Jubilat, urodzony w r. 1854. w Stanisławowie, już jako student Politechniki lwowskiej rozpoczął w r. 1873. pracę dziennikarską w „Dzienniku Polskim“. W r. 1875. objął stanowisko stałego współpracownika „Ojczyzny“, następnie zaś wydawał przez pewien czas tygodnik „Gazetę Świąteczną“, a później „Ekonomistę“.

W r. 1879. przeniósł się do Warszawy, gdzie przez dwa lata pracował w „Gazecie Handlowej“ i „Echu“. Założył w Warszawie, wspólnie ze ś. p. Aleksandrem Rajchmanem, Ajencyę telegraficzną dla obsługi pism warszawskich, ale rozkaz rosyjskiego generał-gubernatora warszawskiego położył kres jej istnieniu, trwającego zaledwie pół roku. W r. 1880. Z. Fryling wrócił do Lwowa, skąd stale przesyłał do pism warszawskich telegramy i korespondencye.

W r. 1881., po śmierci Aleksandra II-go, był jubilat dzisiejszy wydelegowany do Petersburga przez lwowską „Gazetę Narodową“ i pismo budapeszteńskie „Egyetertes“, w celu informowania tych pism o położeniu w Rosyi. Wróciwszy do Lwowa, pracował w „Kuryerze Lwowskim“ i „Gazecie Narodowej“. Zasilał przez szereg lat wiadomościami telegraficznemi prasę wiedeńską, węgierską i czeską. Od chwili powstania we Lwowie oddziału Ajencyi Wschodniej jest jego kierownikiem.

Oddając się pracy dziennikarskiej dbał zawsze wielce o wszystkie sprawy, związane z tym zawodem. Między innemi zapoczątkował utworzenie we Lwowie Syndykatu dziennikarzy polskich, którego jest obecnie wiceprezesem. Nie zaniedbywał też działalności na polu społecznem, kulturalnem i filantropijnem.

Niezwykły „raid“ samochodowy.

„Karawana automobilowa“, która niedawno wybrała się w ryzykowną wyprawę poprzez największą pustynię świata, wróciła szczęśliwie do miejscowości Wargha, ostatniej stacyi swej podróży. Współpracownik „Figara“ miał sposobność mówić z kierownikiem tej niebywałej ekspedycyi, kapitanem Hardtem i otrzymał od niego wysoce interesujące informacye.

Ekspedycya nie została zorganizowana dla celów naukowych, jedynem jej zadaniem było przebyć nawskróś nieprzebytą dotychczas przestrzeń Sahary. Wywiązała się z tego zadania jak najlepiej. Cała podróż odbyła się bez żadnego wypadku, mimo, że podróżnicy musieli walczyć z tysiącznemi trudnościami i przeszkodami. Przeszli oni wszystko, co może czekać człowieka wśród bezmiaru nieprzeniknionej pustyni: burze, pożary stepów, deszcze piaskowe i zabójcze, palące wichry. Minąwszy In-Salah, karawana wjechała w teren kamienisty i skalisty, tak, że zdobywcy pustyni musieli wehikułom



Zgon działacza emigracyjnego: Ś. p. Józef Okołowicz dyrektor Urzędu Emigracyjnego.



Niezwykły „raid“ samochodowy: Samochody wyprawy przed pałacem gubernatora w Timbuktu.

JADWIGA MIGOWA.

Odmłodzenie dra Wyrobkówny

(POWIEŚĆ FANTASTYCZNA).

4)

— Już wiem sierot po inwalidach... po wstydzących się żebrać...

— Hela! ty sobie nie kpij z rzeczy poważnych!... Jesteś niemożliwa!... Jednem słowem jestem patronesą na całą naszą dzielnicę, obowiązki moje muszę spełnić, tak jak mi nakazuje sumienie!...

— Nie lepiejby coś posłać do „Kuryera" — na te żłóbki? To mniej zachodu...

— Ale drożej kosztuje!... Teraz się byle tysiącem nie obejdzie!... Trzeba odrazu krociami sypać!...

— Ano, skoro tak — to ciocia musi iść do żłóbka... Jeżeli sumienie nakazuje... Tylko czy ja jestem konieczna przy spełnianiu tych filantropijnych obowiązków?

— Rozumie się... A pocóż cię trzymam przy sobie, jak nie po to, żebyś mi towarzyszyła?... Nie wiesz, ile twoje utrzymanie kosztuje?...

Hela wzruszyła ramionami i wstała z fotelu:

— Jakżebym mogła nie wiedzieć, kiedy mi to ciocia tyle razy powtarza!...

— Ale ceny codziennie rosną!...

— To ja też codziennie dowiaduję się, ile kosztuję — z uwzględnieniem odpowiedniej podwyżki...

— Jesteś zuchwała — najwyższy czas, żebyś wyszła za mąż!...

— No, i ja tak myślę, bo długobym tu przecież już nie wytrzymała!...

Hela podeszła do otwartego okna, przez które ciepłą falą wdzierało się wiosenne powietrze i słońce... Wychyliła się nieco i uśmiechnęła się do kogoś, kto widocznie stał na dole na chodniku.

— Hela!... z kim ty tam kokietujesz?! — krzyknęła ciotka.

— Ja?

— No, pewnie, że nie ja!... — i pani Barbara, nie czekając na odpowiedź, sama wyjrzała przez okno.

— Naturalnie!... któżby inny, jak nie ten smarkacz Rawski!... Czego on tu stoi?

— Niech go się ciocia zapyta...

— Zawołam policyanta i każę go aresztować!...

— Można spróbować!... nie wiem czy ustawa zabrania stania na chodniku...

— Ale nie pod mojemi oknami!... I to ci powiadam, Hela, ty sobie wybij tych akademików z głowy, bo odstraszysz Geldsznupera...

— Jego i sam dyabeł nie odstraszy — nietylko cały legion akademików!...

— Czy ty wiesz, ile on ma miliardów?

— Nie wiem, bo tego — to on nikomu nie powie...

— Pan całą gębą... On robi na giełdzie wszystkie haussy — wszystkie baissy... Mąż opatrznościowy!... Gdyby nie jego rady finansowe, ładniebym wyglądała w tych okropnych czasach...

— Wiem... wiem... kupuje się floreny... potem zamienia na dolary... a potem się jeszcze na coś zamienia... potem się idzie do kozy...

— No, on jeszcze nie siedział!... Nie bój się on nie z tych, którzy się dają złapać!... Miliardy — powtarzam ci — miliardy!...

— To też miliardy zupełnie mi odpowiadają — wyznała Hela — tylko nos ma zanadto krzywy, lat o czterdzieści za dużo, a zębów i włosów stanowczo za mało!...

— Grymasy! moja kochana — nie dla biednej dziewczyny!... Na mnie nie licz!...

— Ani mi w głowie!... Znam zanadto ciocię!...

— Więc co zrobisz?... Może chcesz wyjść za Rawskiego? czy za tego drugiego smyka? co tu się także kręci?

— Phi! ostatecznie mogę wstąpić do baletu, albo do kina!...

— Hela! ty mnie nie doprowadzaj do ostateczności!...

— Niech się ciocia nie denerwuje, nie jestem romantyczką!... nie darmo się w tym domu wychowałam..., ja się zdecyduję na Geldsznupera, tylko może jeszcze poczekać — ten stary spekulant...

— I może uciec!...

— Nie ucieknie!... bo ma tabes i nogi mu się trzęsą!...

— Dosyć już tego gadania!... — zadecydowała ciocia — czas do naszego żłóbka... ubieraj się!...

— W tej chwili... czy kazać Marysi zawołać dorożkę?

— Dorożkę? no niech będzie... choć ci dorożkarze zdzierają teraz — westchnęła pani Barbara — widzisz, gdybyś była panią Geldsznuperową miałabyś własne auto do rozporządzenia.

— Trzy, ciociu, trzy! Jeden „Steyer", jeden „Austro Daimler" i „Forda"!...

— No, pomyśl tylko!...

Hela w chwili, gdy pomagała ciotce wsiąść do dorożki — rzuciła zręcznie na bruk zwiniętą karteczkę, którą momentalnie podniósł czarnooki, śliczny chłopak.

— Hela!... coś ty za kartkę rzuciła?

— Ja!

— Co za idyotyczne pytanie!... No, chyba, że nie ja!... Co to za kartka?

— Kartka?

— Świętej cierpliwości z tą dziewczyną!... Widziałam przecież, jak ten... ten... Rawski ją podniósł...

— Rawski?!

— Rozumie się, że Rawski!... Nie udawaj głupiej!... Pewnieś mu naznaczyła randkę?!

— Randkę?!

Pani Barbara aż podskoczyła na twardem siedzeniu dorożki!...

— Wszyscy Święci!... trzymajcie mnie!... Słuchaj, to się musi skończyć! Geldsznuper się oświadczy w najbliższym czasie!...

— To mu wolno!...

— I ty go przyjmiesz!...

— Czy teraz tak odrazu — to jeszcze nie wiem!...

— Ale ja wiem...

— No, kiedy ciocia wie — to czego się ciocia irytuje...

Wśród tak zajmującej rozmowy ani się spostrzegły, kiedy dorożka stanęła przed budynkiem, w którym mieścił się żłóbek. Była to stara rudera od wielu lat widocznie nie naprawiana. Snać patronesy żłóbka nie wiele starania poświęcały konserwacyi schronienia swoich pupilów.

Panią Żurecką i jej siostrzeni ę dwie zakonnice, zarządzające żłóbkiem przyjęły z wielkim respektem. Naprzód zaproszono panią patronesę na doskonałą kawusię z kożuszkiem i wybornem ciastem — potem zaś dopiero udano się na rewię małych lokatorów tego domu...

Smaczny podwieczorek, to rzecz niejednokrotnie podsycająca hojność filantropijnych dam, a przytem zostawia trochę czasu do usunięcia pewnych braków, czystości i wyekwipowania pupilów zakładu.

Siostry przez cały czas opowiadały o kłopotach finansowych żłóbka, o niemożności przyjęcia większej ilości dzieci do zakładu, chociaż tego zachodzi ogromna potrzeba:

— Niema prawie dnia, aby nie było jakiegoś zgłoszenia czy podrzucenia... O! i wczoraj wieczorem podrzucono nam kilkotygodniową dziewczynkę... Sądząc z pięknego medalionu, który mała ma na szyi — musi to być dziecko z lepszej sfery..

— Co siostra mówi? — zainteresowała się patronesa — to skandalem pachnie!... Co za upadek moralności... Z lepszej sfery... Gdzież to dziecko?... Chciałabym je zobaczyć... Czasem podobieństwo może naprowadzić na ślad rodziców!...

— Oto ta mała... — zakonnica wskazała łóżeczko, w którem spowinięte czyściutko leżało niemowlę o uderzająco mądrych, bystrych oczach. Na piersi dziecka widniał niewielki, ale piękny medalion w postaci kulki ametystu, ujętej w złotą oprawę misternej roboty. Asystentka dra Riki-Tiku w pośpiechu zapomniała zdjąć ten klejnot.

— Jak się to dziecko mądrze patrzy — zauważyła pani Barbara, badając jednocześnie wzrokiem rysy niemowlęcia, czy nie odnajdzie w nich przypadkiem jakiegoś kompromitującego podobieństwa.

— Aż za mądrze... Poprostu zdaje się, że to dziecko rozumie doskonale, co się koło niego mówi... Powiedziałabym, że to nawet nieprzyjemne...

— Dla mnie to dziecko jest ogromnie sympatyczne — oświadczyła pani Barbara.

W tej chwili maleństwo uśmiechnęło się tak uprzejmie, jakby zrozumiało pochlebną dlań opinię... Nie był to stanowczo bezmyślny uśmiech niemowlęcia, chociaż odsłaniał różowe bezzębne dziąsła.. To był wyraz dziękczynienia i wzajemnej sympatyi...

— A co? nie mówiłam, że rozumie?! — wykrzyknęła zakonnica.

Patronesa była zachwycona.

— Ależ to jakieś genialne dziecko!... Mam przeczucie, że jego ojcem jest jakiś uczony — pewnie profesor uniwersytetu!... Chociaż nie, bo uczeni to najwięksi idyoci!... W każdym razie to niezwykłe dziecko!...

— Biedactwo!... zostanie bez dachu!... — westchnęła zakonnica.

— Jakto?

— Bo myśmy je przyjęły tylko prowizorycznie... tymczasowo... Łóżeczko to już zajęte..

Oczy dziecka spojrzały żałośnie i zaszły łzami. Siostra Elżbieta uczyniła znak krzyża na czole i piersi.

— W Imię Ojca i Syna... toż ten dzieciak rozumie każde słowo, które mówimy!... To jakaś nieczysta sprawa!..

Ale pani Barbara innego była zdania. Jej podziw i zachwyt nie miał granic poprostu...

— To geniusz!... geniusz!... Ja się tem dzieckiem zaopiekuję!...

Nowy dowód niezwykłego rozumu niemowlęcia. Dziecko przestało kwilić, fiknęło radośnie nóżkami i zatrzepotało rączkami wyraźnie pod adresem pani Żureckiej.

— Cudo!... fenomen!... — wołała pani Barbara — biorę to dziecko ze sobą!

— Kiedy? - zapytała pospiesznie zakonnica.

— Choćby zaraz... Hela!...

Hela tymczasem rozglądała się po salce i chodziła od jednego łóżeczka do drugiego. Widok tych maleństw budził w jej duszy zatrutej grubym materyalizmem i żądzą użycia — jakieś tkliwe uczucia... Szczególne podobał się pewien chłopczyk o milutkiej, różowej buzi i czarnych wesołych oczętach...

— Dziecko Felisia Rawskiego mogłoby mieć takie oczy... — pomyślała. Westchnęła mimowoli.

— A dziecko Geldsznupera... Brr!... co za ohyda!... Całe szczęście, że coś podobnego — to mu się już chyba przytrafić nie może...

— Hela!... — powtórzyła ciotka.

— Jestem, ciociu! — rzekła panienka wyrwana z kręgu swych niewesołych rozmyślań.

— Musisz mi pomódz... Zabieramy tę małą ze sobą...

Hela w jednej chwili otrząsnęła się ze swej smętnej zadumy.

— Co?! Co ciocia mówi?!

— To co słyszysz. Zabieram to dziecko do siebie!...

— No, coś takiego!... A cóż z tem dzieckiem będziemy robiły?!

— Jakto co? wychowa się na geniusza... Bo to jest napewno geniusz!...

— Bardzo możliwe, tylko, że ten przyszły geniusz na razie potrzebuje pieluch i mamki!... No, a chyba ciocia nie będzie wymagała, żebym ja tak na poczekaniu zmieniła się w mamkę... Ostatecznie na to trzeba zostawić parę miesięcy czasu!...

— Hela!... taisez vous!... vous êtes insupportable... nie masz serca, dziewczyno!... zaopiekować się sierotą..

— To taki piękny, chrześciański uczynek...— wtrąciła siostra Elżbieta, wznosząc oczy w górę. — Zresztą dziecko nie musi być karmione piersią... Wystarczy mleko sterylizowane...

— A widzisz..

— I mączką Nestle'a...

— Rozumie się...

Hela zacięła zęby w bezsilnym gniewie.

— Szanse Geldsznupera rosną! — mruknęła, na niańkę nie mam najmniejszych kwalifikacyi...

— Zamiast mówić tak wiele niepotrzebnych rzeczy — zgromiła ją ciotka — poproś lepiej siostry Elżbiety, aby ci pokazała, jak się z dzieckiem obchodzić należy, bo bierzemy je zaraz...

— I tak będziemy paradowały z tym bębnem w dorożce przez całe miasto?!

— No i cóż?... Chrześciański uczynek...

— Tylko, że nie każdy będzie wiedział... A jakby się kto pytał — to co mam powiedzieć? czy to moje, czy cioci?

— Hela! vous êtes une salle gamine!...

— To już ja paniom dopomogę!... — ofiarowała swoją pomoc siostra Elżbieta, która zlękła się, że Hela może wpłynąć na zmianę postanowienia ciotki — i sama przywiozę maleństwo...

Ciąg dalszy nastąpi.

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDŹ

10) **Powieść z francuskiego**

Podczas gdy mąż jej był w Neapolu, polegając na słowie, które mu dałem, hrabina za trzymywała mnie przy sobie, a jak się później dowiedziałem, w listach swych do męża, obwiniała mnie drwiąco, iż chcę rządzić wszystkiem i wszystkimi w domu. Mąż zatem spał najspokojniej, a tymczasem, książę Titiane i towarzysze jego, by zemścić się na nim, psuli ile tylko mogli i tak już złe skłonności hrabiny.

Ja patrzałem na to, nie mogąc powiedzieć ani słowa. Ale sumienie moje oburzało się.

Pewnego dnia, zrozpaczony ohydnem mojem położeniem, postanowiłem odjechać. Wtedy hrabina rozgniewała się i nie pozwoliła mi zrobić tego.

Ustąpiłem jej... A! — mówiłem sam do siebie — chciałeś poznać odwrotną stronę świata! Chciałeś wiedzieć z czego się składa miłość jednej z gwiazd! Chciałeś spróbować owocu zakazanego romansu z wielką damą! Teraz masz! Masz czego chciałeś!

LXXI.

Wszakże znikczemnienie w jakie wpadłem i położenie, zajmowane przezemnie przy hrabinie musiały być tylko przemijające.

Nic to nie pomogło, iż zapewniała mnie, pewnie by sobie drwić ze mnie, iż nigdy mnie tak nie kochała.

Czułem, że dramat, który się odgrywa między nami, a który teraz zakrawał na parodyę, nie mógł trwać wiecznie, że musi mieć swój koniec, niedaleki i straszliwy. Sądziłem, iż zbliża się nawet.

Ta Florencya, o której mówiłem na początku tego opowiadania, i która była przyczyną kłótni hrabiny z księciem Titiane w Aix, ta sama Florencya, jedna z najpiękniejszych dam kameliowych Paryża i zarazem jedna z najhojniej obsypywanych pieniądzmi, która pierwsza kazała czarne swe włosy przefarbować na ognisto-czerwone i w ostatnich czasach zjednała sobie rozgłos w całej Europie pod przerażającą nazwą „najpiękniejszej z wampirek", ta Florencya nakoniec, która znajdowała, jak utrzymywał książę, iż pani Chalis jest bardzo miłą i która doszła do tej impertynencyi, iż lornetowała ją w teatrze, tak się postarała, iż od niejakiego czasu wszędzie o niej mówiono.

Wszystkie dzienniki, poczynając od „Constitutionel'a", aż do „Księżyca" opowiadały publiczności o „cnotliwem postanowieniu", jakie powzięła „biedna dziewczyna", gdy się rozmiłowała w ślicznym chłopcu bez majątku. Zamierzyła zaślubić go i usunąć się do prześlicznej willi, którą kupiła nad jeziorem Como. Posiadając bardzo szczupłe oszczędności, nie wystarczające na życie, postanowiła „poświęcić swoje ruchomości".

Otóż, sprzedaż owych ruchomości dostarczała wówczas materyału do rozmów we wszystkich salonach pierwszego w świecie miasta.

Tylu książąt, milionerów, synów arystokratycznych rodzin, gościło w buduarze Florencyi, pozostawiając tam ślady swej hojności. Na setki liczono tam rozmaite drobiazgi, świadczące o „wysokiem ugrzecznieniu". Co do cennych klejnotów, z tych trudno było zrobić dokładny inwentarz, mówiono, że pierścionki można było mierzyć kwartami, brylanty kwaterkami. Najcudniejszym jednak pomiędzy wszystkimi tymi klejnotami był naszyjnik, składający się z szesnastu sznurów pereł, oszacowany na pół miliona.

Gdy dzienniki ogłosiły, że wystawa publiczna przedmiotów, mających być sprzedanymi, trwać będzie ośm dni, wszyscy, a przedewszystkiem kobiety „najlepszego towarzystwa" rzuciły się do oglądania pomieszkania sławnej piękności. Tyle im opowiadano o jej wytwornym guście! Tyle razy dawano do zrozumienia, iż jest w stanie zaćmić je wszystkie elegancyą!

Przez cały tydzień, szeregi uherbowanych powozów stały w stronie alei Matignon, gdzie znajdowało się pomieszkanie Florencyi. Niektórzy młodzi ludzie, oglądając apartamenta, bawili się w to, iż wykrywali tajemnicę pochodzenia niektórych sprzętów. Byli tam jak w domu.

Portret Florencyi, naturalnej wielkości, zwracał uwagę wszystkich. Był do sprzedania, tak jak i wszystko. Ale przedewszystkiem zachwycał gabinet toaletowy. Tłoczono się w tym wielkim pokoju, całkiem wyłożonym zwierciadłami, a którego srebrne naczynia przedstawiały wartość dwukroćstutysięcy franków.

Większą część tych szczegółów wyczytałem w dziennikach „dobrze poinformowanych" jak „Indépendance belge" i „Figaro", słyszałem przytem, jak przyjaciele hrabiny przytaczali inne gazety.

Pewnego wieczoru pani Chalis wydała mi się bardzo rozdrażnioną, zajętą. Rzekłbyś, że czeka na jakieś wydarzenie. Zapytałem ją, co to ma znaczyć. Uśmiechnęła się i dała mi odpowiedź wymijającą. Zdawało mi się, iż radaby się mnie pozbyć, i wnet przyszło mi na myśl pozostać.

Koło dziesiątej godziny zaanonsowano księcia Titiane. Hrabina, ujrzawszy go, zapomniała, że byłem obecny i pobiegła naprzeciw niemu.

Książę trzymał pod pachą płaskie pudełko, owinięte w jedwabny papier. Pani Chalis z pewnym rodzajem szału pochwyciła je. Książę śmiał się, ja, nic w tem nie pojmując, spoglądałem na jedno, to na drugie.

Usunąwszy się w głąb salonu, i odwróciwszy się od nas obu, pani Chalis przybliżyła się do stołu, rozdarła w pospiechu papier, w który owinięte było pudełko, i w milczeniu poczęła chciwie się wpatrywać.

Podszedłem ku niej. Wtedy zawróciła się na jednem miejscu, poczęła wyśpiewywać skacząc po pokoju i trzymając w ręku przedmiot wyjęty z pudełka, a którego dobrze rozpoznać nie mogłem. W zachwycie prawdziwym przykładała ten przedmiot do szyi, do ust, do twarzy. Rzekłbyś, że go obwąchiwała, całowała.

Wtem zatrzymała się, i wybuchnąwszy głośnym śmiechem, poczęła podrzucać do góry naszyjnik z pereł.

Był to naszyjnik Florencyi.

Nie mogłem nie zachwycić się nim, gdy mi go pokazała z bliska. Jednak, raziło mnie to, iż mogła przykładać do ust ten przedmiot, noszony przedtem przez taką kobietę.

Powiedziałem jej:

— Pani kupiła ten naszyjnik?

— Tak! tak! tak!

I z radości skakała i klaskała w ręce.

— Wiele też pani zapłaciła?

Książę odpowiedział:

— Pięćkroćstotysięcy franków!

— Czy pan znajdujesz, że to drogo? — zapytała hrabina.

— Sądzę, — odrzekłem — że to wiele pieniędzy.

W mojej nieświadomości mnóstwa rzeczy, przypuściłem, że hrabina, nie śmiejąc sama udać się na licytacyę rzeczy Florencyi, poleciła księciu, by jej kupił ten naszyjnik. Niestety! Byłem o tysiące mil od prawdy. Książę, który nigdy nie odznaczał się dyskrecyą, i który zresztą myślał, że pani Chalis nie ma przedemną tajemnic, nie żenował się opowiedzieć wszystko. Hrabina nie pomyślała nawet o tem, by mu przerwać. Była tego przekonania, że wcale nie potrzebuje obawiać się mnie, a zachwycała się naszyjnikiem.

Nie upłynęło kilka minut, a już wiedziałem o wszystkiem. Otóż, tak się rzecz miała: Jak wiele innych kobiet, tak i pani Chalis ułożyła sobie, że obejrzy pomieszkanie Florencyi. Ale chcąc się wszystkiemu przypatrzeć zupełnie swobodnie, nie będąc otoczoną tłumem innych zwiedzających, wyrobiła sobie za pośrednictwem księcia Titiane, iż uda się do pomieszkania pięknej kobiety na dwie godziny przed otwarciem wystawy publicznej. Ponieważ Florencya od kilku dni przeniosła się do jednej ze swych znajomych, więc hrabina była pewną, iż nie ma czego obawiać się spotkania, któreby ją postawiło w sytuacyi niewłaściwej.

Otóż, pewnego poranku, w towarzystwie księcia, udała się w aleję Matignon, gdzie zastała tylko pannę służącą, czekającą na jej przybycie. Że z największem zajęciem odbyła przegląd wszystkiego, aż do najmniejszych szufladek, o tem wątpić nie można. Chybaby nie była kobietą. Obejrzawszy wszystko należycie, szczególnie zachwyciła się pięknością naszyjnika.

Wtem drzwi się otwarły i stanęła przed nią Florencya. Czy zdumienie damy kameliowej było tylko zręcznie odegraną komedyą, czy też książę zawczasu ułożył taką niespodziankę? Według mego zdania, obojga stać było na to.

Jakkolwiekbądź Florencya nie straciła głowy, i podczas gdy hrabina patrzała na nią mocno zmięszana, poczęła tłómaczyć się jak mogła najlepiej, udając zakłopotanie, i w sposób nader pochlebny. Powiedziała, iż zdawało się jej, że dopiero w dniu jutrzejszym ma przybyć hrabina, że nadzwyczaj ubolewa nad mimowolną niedyskrecyą. Jaką popełniła, że nie wie, jakich dobrać wyrażeń, by wyprosić u hrabiny przebaczenie.

Pani Chalis, która nigdy nie przypuszczała by „panna" w rodzaju Florencyi mogła mieć jakie takie wykształcenie, i okazać tyle taktu i przyzwoitości, w tejże chwili zapomniała o niezmiernej odległości, oddzielającej jedną od drugiej, i odpowiedziała z taką uprzejmością, na jakąby tylko zdobyć się mogła, gdyby Florencya, zamiast być „najpiękniejszą z wampirek" była kobietą należącą do jej towarzystwa, i którą mogłaby przyjąć w swoim salonie. Książę, na stronie, zachwycał się, widząc jaki obrót rzeczy przybierają.

Pierwsze lody zostały przełamane. Florencya z największą prostotą podała krzesło hrabinie... i hrabina usiadła. Całą godzinę zabawiano się rozmową. Jedna studyowała drugą i obie zasypywały się komplementami. Florencya znajdowała, iż hrabina jest największą doskonałością pomiędzy kobietami, jakie widziała kiedykolwiek; hrabina unosiła się nad pięknością Florencyi, a zwłaszcza nad jej dystynkcyą.

Książę wziął na siebie obowiązek wyjawienia, że hrabina umiera z chęci nabycia naszyjnika.

Florencya natychmiast oświadczyła się z gotowością wycofania się ze sprzedaży, i naznaczyła księciu godzinę, w której „rozmówi" się z nim co do tego.

Nakoniec rozstano się, ściskając sobie ręce... z całą najwykwintniejszą grzecznością: rozstano się widocznie ubolewając nad tem, uśmiechając się nawzajem, z żalem, że nie nadarzy się przyjemność powtórnego spotkania... Florencya była rozpromieniona, jak można łatwo domyśleć się, a pani Chalis zastrzegając, iż nikomu nie należy mówić o tej przygodzie, oświadczyła naiwnie, iż się „doskonale ubawiła".

LXXII.

Gdyśmy zostali sami, ponieważ koło północy książę odjechał do swego klubu, gdzie właśnie grano partyę kilkumilionową, która już od kilku dni trwała — zwróciłem się ku hrabinie.

— A więc — rzekłem udało się nakoniec pani zabrać znajomość z takiemi kobietami.

Sądziłem, że usłyszawszy tę impertynencyę, hrabina zerwie się, ale przyjęła to jak najlepiej.

— Co pan chcesz — odpowiedziała, po raz już dziesiąty licząc perły naszyjnika. — Wszystko stało się zupełnie niespodziewanie. Ale tyle mi mówiono o tej Florencyi, tak często spotykałam ją w lasku, na wyścigach, w teatrze, w magazynie strojów, iż przyznam się panu, że znalazłszy się wobec niej, nie mogłam oprzeć się chęci poznania bliżej co to za kobieta. Otóż, powiem panu, to rzecz szczególna może, ale to jest osoba bardzo porządna. Ubiera się z gustem, wyraża przyzwoicie, jest nawet dowcipna. Jednem słowem, nie ma prawie żadnej różnicy między nią a... nami.

Teraz ja się zerwałem usłyszawszy to.

— Co panu jest? — zapytała hrabina.

Usiadłem i odpowiedziałem:

— Nic wcale.

— Ale widzę dobrze, iż coś panu jest. Umierasz pan z chęci pokłócenia się ze mną.

— Do czegóżby to posłużyło? Pani uznaje za swoich przyjaciół tych tylko, którzy dopomagają do zadosyćuczynienia jej fantazyom, a wcale nie tych, którzy narażają się na niełaskę, by wyświadczyć pani przysługę. Od dwu lat gram przy pani obrzydłą rolę mentora. Nużę panią i nudzę... A jednak... co do księcia Titiane...

— A! otóż masz! — zawołała. — Znowu pan zazdrosny o niego!

— Zapewniam panią — odpowiedziałem z gniewem — iż nie jestem zazdrosny o nikogo, a przedewszystkiem o tego Asteka.

— Asteka! — zawołała — co to jest?

— Jest to stworzenie rasy wynaturzonej, jedna z istot, trzymających środek między człowiekiem a bydlęciem.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

— Jaki pan złośliwy! — powiedziała.

— Złośliwy? Ja? Owszem, mówię z całem przekonaniem. Nikt mi nie zdoła wybić tego z głowy, iż spotkanie to było z góry ułożone między tym jej Titianem a jego panną Florencyą.

— W jakim celu?

— Gubię się w domysłach.

— No, a gdyby i tak było?

— Jak to — gdyby tak było?

— Naturalnie. Titiane często mi mówił o tej dziewczynie. Bezustannie powtarzał, że Florencya ma mnie za najcudniejszą z kobiet. Jednocześnie opowiadał mnóstwo jej przygód, co zaostrzało moją ciekawość. Być może, iż przypuszczał, że mnie zabawi godzina z nią spędzona. Nie wiem dlaczego miałabym mu to mieć za złe!

— Ani ja.

— Eh! nieznośny pan jesteś z tą swoją ironią!

— Nieznośny... być może. Pozwolisz mi jednak pani, iż zwrócę uwagę na to, jaką to ogromną przestrzeń przebyłaś pani. W Aix byłaś bardzo dbałą o swą reputacyę. Byłaś oburzoną na to, że książę, wyszedłszy z loży Florencyi, przyszedł następnie do loży pani; wypędziłaś go jak lokaja. Dziś awantury tej samej panny Florencyi, której nazwisko wymówione w obecności pani już ją obrażało, wzbudzają ciekawość pani, bawią ją, pragnie pani godziny rozmowy z nią. To widoczny postęp.

— Pan masz manię analizowania wszystkiego! — odrzekła z niezadowoleniem. — Cóżbyś zrobił na mojem miejscu?

— Przedewszystkiem, nigdybym już nie chciał widzieć tego szkaradnego księcia; potem... nigdybym nie jeździł w aleję Matignon.

— Wszystkie kobiety tam bywają.

— I źle robią. Zresztą, bywają wtedy kiedy i wszyscy, podczas wystawy publicznej; nie widzą tam pani domu; a to nie wszystko jedno!

— A!..

— Wykrzyknik niczego nie dowodzi!

— Jakiegoż pan chcesz dowodu? Gdybym się nie widziała z tą Florencyą, gdybym nie potrafiła podobać się jej, nigdy może nie miałabym tego naszyjnika.

— A gdyby i tak było?

Tu hrabina rozgniewała się.

— Mów sobie pan co chcesz — zawołała — ale w całym Paryżu nie ma piękniejszego.

— Pewno nie ma i takiego, którego pochodzenie byłoby mniej podejrzanem.

— Cóż to szkodzi? Kiedy go kupiłam i... za moje pieniądze!

Dziwna rzecz! W tonie, jakim wymówiła ten wyraz moje, było coś takiego, jak wahanie się sumienia.

Spojrzałem na panią Chalis. Miała oczy spuszczone, ale lekki rumieniec na twarz jej wystąpił. Był to dla mnie promień światła. Jednak myśl, która mi przyszła do głowy, była tak krzywdzącą, iż nie śmiałem jej wyrazić, oddech mi ścisnął gardło i upłynęła cała minuta, nim zdołałem przyjść do siebie.

— Pani może się znaleźć w kłopotach pieniężnych, wydawszy od razu ze swych dochodów tak znaczną sumę — rzekłem.

Hrabina zarumieniła się jeszcze mocniej.

— Nie z dochodów moich wydałam tę sumę — odpowiedziała.

— A!

— Tak.

— A zatem... z kapitału... podniosła pani pieniądze, z kapitału, który powierzył jej mąż.

Poczerwieniała aż do skroni, zawahała się, potem rzekła:

— Tak jest.

— Jak pani sądzi — zacząłem znowu obojętnie — co mąż jej pomyśli o tym nabytku?

Była widocznie zakłopotana. Po chwili, podniósłszy oczy, odpowiedziała:

— Ależ... nie widzę potrzeby uwiadamiania go o tem.

Wtedy to przekonałem się do jakiego stopnia kocham ją. Dusza mi się rwała. Rzuciłem się jej do nóg.

— Błagam panią! — zawołałem — w imię wszystkiego, co jest jej drogiem! Zaklinam panią na jej dzieci! Odeszlij ten naszyjnik. Strać pani na nim może sto tysięcy franków, jeżeli inaczej być nie może, ale nie zatrzymuj go. Przepaść otwiera się pod nogami pani. Trzebaby być wrogiem pani, by to przed nią ukrywać.

Łzy puściły mi się z oczu. Ściskałem jej ręce.

— Cóż to pan sobie wyobraża — odpowiedziała mi urażona.

I wyrwawszy mi się z rąk odeszła.

LXXIII.

Ale ja chciałem wiedzieć wszystko. Zaraz więc na drugi dzień, zacząłem wywiadywać się w Paryżu. Kolejno przebiegłem wszelkie miejsca, gdzie na wielką skalę odbywa się wymiana plotek, kaczek politycznych i nowin zakulisowych. Wszędzie nastawiałem ucha. Nic jeszcze na jaw nie wyszło. Dopiero koło godziny dziewiątej, chodząc po korytarzach teatru opery, usłyszałem szeptania w grupie młodych ludzi, których znałem. Przybliżyłem się. Panowie ci zdawali się bawić wybornie i śmiali się serdecznie. Obecność moja nie krępowała ich wcale. Rozprawiano dalej w mojej obecności. Właśnie rozmowa toczyła się o naszyjniku.

Po kilku minutach, nie miałem już żadnej wątpliwości. Za ten przeklęty naszyjnik... książę zapłacił.

LXXIV.

A zapłacił za niego w sposób najbardziej kompromitujący; przekazem na Bank francuski. Koło drugiej godziny, w chwili, gdy największy osób napływa z giełdy do tego ogromnego banku, gdy przeszło dwadzieścia tysięcy interesantów krąży nieustannie po dziedzińcu i pod bramą, Florencya, w bogatej tualecie, za hwycającą piękna, wysiadła ze swego powozu o kilka kroków od tej bramy. Udając, że nie zna miejscowości, aby tym sposobem obudzić większe zajęcie, poczęła wypytywać odźwiernego i sług bankowych, których spotkała, wreszcie wszystkich przechodzących, dokąd należy się udać dla otrzymania pięciukroćstotysięcy franków?

Suma tak znaczna nie wypłaca się nigdzie, nawet w Banku francuskim, a zwłaszcza pięknej kobiecie, bez wywołania pewnego wrażenia. Urzędnicy przyglądali się Florencyi, podczas gdy kasyer przeliczał pęki bankowych biletów, które jej miał wypłacić. Jeden z tych urzędników, bardzo przystojny, na którego w czasach mniej świetnych, piękna wampirka spoglądała wcale uprzejmie, podszedł ku niej, by uścisnąć rękę i powinszować zwycięztwa, odniesionego nad księciem Titiane.

— O! mylisz się pan bardzo! — odrzekła Florencya, przybierając wyniosłą postawę. — Najpierw... zwycięztwo dawno jest odniesione, a powtóre, suma, którą otrzymałam jest poprostu wynikiem spekulacyi, sprzedałam mój naszyjnik.

— W każdym razie — odrzekł urzędnik — książę jest zanadto wspaniałomyślny, by żądał wydania naszyjnika.

— Przeciwnie, wręczyłam mu go wczoraj.

— Komuż ma on zamiar ofiarować go?

— A! to co innego!

— Czy to tajemnica?

— Być może!

Kasyer przerwał tę rozmowę, wzywając Florencyę by odebrała pieniądze. Piękna kobieta z gracyą poczęła przebierać kupę banknotów, udając, że ich nie liczy. Kilkadziesiąt osób patrzało na nią. Następnie wkładała pieniądze bardzo powoli do torebki podróżnej. Dziesięć minut trwała ta operacya. Wreszcie ukłoniła się, odeszła, wsiadła do powozu i kazała się wieźć do swego agenta wymiany.

Tu nastąpiła nowa komedya. O wielki kłopot przyprawiały ją te pieniądze; nie wiedziała co z niemi robić. Zapytywała, czy dobrze będzie gdy kupi rentę. A może to zła lokacya, bo mówią, że będzie wojna. Nakoniec zdecydowała się na akcye kolei północnej, gdyż „ma wiele zaufania do p. Rotszylda".

W godzinę potem wiadomość o pół milionie Florencyi obiegła cały Paryż.

O czem mianowicie chciano się dowiedzieć, nad czem szczególnie łamano sobie głowy, to nad tem, komu książę ofiaruje naszyjnik.

Czy książę kupił go na spekulacyę. — Tego niepodobna było przypuszczać. Książę lubił robić coś takiego tylko, o czem by wszędzie mówiono. Czy zwróci go Florencyi?

To było jeszcze mniej przypuszczalnem, gdyż jeżeliby miał taki zamiar, to pocóż ta komedya ze sprzedażą? Niezawodnie nabył naszyjnik, by go złożyć u stóp jakiej kobiety... Ale któż była ta szczęśliwa? O to pytano w teatrze Opery. Jedni robili przegląd wszystkich więcej znanych piękności, ale to śmieszyło słuchaczy. Nie potrzeba było aż pięciukroćstutysięcy franków dla rozczulenia najchciwszej. Więc spoglądano po sobie i potrząsano głowami. Przytaczano wyrazy przypisywane królowej Maryi Antoninie: „W tem wszystkiem musi być jakaś dama wyższego towarzystwa". Zresztą zadecydowano, że być może, iż Titiane nic nie powie; ale zanadto jest próżny i zrobi tak, że będzie można się domyśleć. Poznamy z czasem po naszyjniku damę jego wyboru.

W tym duchu toczyła się rozmowa między młodymi ludźmi, gdy hrabina Chalis, od stóp do głów osłonięta kaszmirowym burnusem, złotem wyszywanym, przeszła korytarzem i stanęła przed swoją lożą.

Każdy ukłonił się i odszedł nieco na bok, by zrobić jej miejsce.

Ja, który osłupiałem był, słysząc poprzednie rozmowy, gdym ujrzał hrabinę, o jednem już tylko myślałem teraz; jak się tu przekonać czy ma na sobie naszyjnik. Więc w chwili, gdy wchodziła do małego saloniku, poprzedzającego lożę, szybko przybliżyłem się ku niej, jakby w zamiarze dopomożenia przy zdejmowaniu burnusa. Wydała mi się zdziwioną tą uprzedzającą grzecznością, ale zdziwienie jej wzrosło, gdy zdjąwszy burnus i ujrzawszy brylantowe spięcie, podtrzymujące naszyjnik, puściłem burnus i nacisnąwszy sprężynę spięcia, z lekka pociągnąłem naszyjnik ku sobie.

Nikt tego nie dostrzegł, gdyż dwoje nas tylko było w saloniku, dość ciemnym, a drzwi do loży były zamknięte.

Ale hrabina odwróciwszy się ku mnie z widocznem niezadowoleniem rzekła:

-- Jaki też pan niezręczny!

— Nie, to nie jest niezręczność — odpowiedziałem z wyrazem najgłębszego smutku. — Ratuję panią od publicznej pogardy. Każdy ze znajdujących się tu wie, że ten nędzny książę zapłacił za naszyjnik. O tem tylko mówią. Wszyscy wypatrują teraz kobiety, która upadła tak nisko, iż przyjęła podobny podarunek. Gdybym się tu nie znalazł w tej chwili, pani byłaby zgubioną.

Hrabina przygryzła sobie usta i odrzuciła naszyjnik, który jej podawałem.

Podczas gdym go wkładał do jednej z kieszeni burnusa, zagniewana rzuciła się na kanapę w małym saloniku. Stanąłem przy samych drzwiach.

— No cóż? — zapytała po chwili. — Czemu pan dalej nie prawisz mi impertynencyi? Wszak widzisz, że słucham go!

— Chciałem tylko wyświadczyć jej usługę.

Opowiedziałem więc wszystko com słyszał i jakim sposobem odkryłem prawdę.

— O! Titiane zapłaci mi za to! — zawołała. — To on nabił mi głowę tym naszyjnikiem. Nie mogłam nawet myśleć o kupieniu go. Mam i bez tego milion dwakroćstotysięcy długu!

— Jakto? — krzyknąłem zdziwiony. — Ma pani około miliona dochodu i znalazłaś sposób zadłużyć się na milion!

— No i cóż?...

To rzekłszy, spojrzała na mnie z pogardą, jakgdybym powiedział niedorzeczność.

Obużyłem się tem. Już widząc, że jestem oszukiwany na korzyść tego Titiane, czułem się źle usposobionym.

— Bądź pani spokojną — odrzekłem. — Niech panią nie niepokoją jej długi. Książę jest hojny...

— Dość tego! — rzekła wstając. — Za wiele pan sobie pozwalasz!

I przeszedłszy koło mnie, usiadła na przodzie w loży.

Widziałem jak kilkakrotnie nachylała się, odpowiadając na ukłony ze wszystkich stron jej przesyłane. Tyle miałem jej do powiedzenia, że nie mogłem się zdecydować odejść. Usiadłem więc na taborecie w głębi loży. Wtedy hrabina, odwróciwszy głowę, z lodowatym wyrazem twarzy powiedziała mi:

— Pan mnie żenujesz!

Wyszedłem.

LXXV.

Czułem, że jestem osądzony i skazany. Ale nigdy nie mogłem przypuszczać, by przy wykonaniu wyroku postąpiono sobie ze mną tak nielitościwie.

Rzecz najbłahsza spowodowała katastrofę. Na drugi dzień rano, hrabina zadecydowała, iż jest zimno (zimno nie było) i że dzieci powinny zostać w domu. Wkrótce potem sama wyjechała.

Popołudniu pokazało się słońce i dzieci poczęły mnie prosić, bym z niemi poszedł na przechadzkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Dziadowie i ojcowie nasi obchodzili niegdyś święta Wielkanocne przez cały tydzień, bo na to pozwalały ich żołądki i kieszenie. Ale to było w dawnych czasach, kiedy bułka centówka kosztowała naprawdę centa a przechodzącego ulicą milionera pokazywano sobie palcami. Dziś zmieniło się wszystko. Nie jest wprawdzie tak źle, jak mógłby kto sądzić, przeczytawszy ostatnią kronikę, z której da się wyciągnąć wniosek, że Krakowianie zerwali zupełnie z dawną wielkanocną tradycyą, bo nie brakło takich, którzy świętowali bardzo hucznie, ale kronikarz, narzekając na ciężkie czasy, nie miał na myśli paskarzy i lichwiarzy, których jest dziś całe mnóstwo, lecz podobnych sobie gołych demokratów zarobki swe czerpiących z pióra lub ołówka, a nie pociągła, hebla lub warzechy.

Zwrócono nawet z tego powodu uwagę kronikarzowi, że przed świętami panował aż zanadto ożywiony ruch w różnych lokalach, gdzie wprost przelicytowywano się przy zakupnie artykułów świątecznych, ktore zwłaszcza w ostatnich dniach Wielkiego tygodnia doszły cen niebywałych, a przed piekarniami ustawiały się ogonki pań i sług niosących do wypieku rozmaite bałabuchy, które nie byłyby się zmieściły w skromnym domowym piecyku. Przez oba dni świąt spotykało się też na ulicach stosunkowo bardzo wiele osób posuwających się chwiejnym krokiem, przypominającym chód marynarza po lądzie stałym, co świadczyło aż nadto wyraźnie, że panowie ci nie próżnowali, lecz wstępowali godnie w ślady praojców, którzy w Wielkanocnym czasie obżarstwa i pijaństwa, idących ze sobą w parze, nie uważali bynajmniej za grzech. Ale powtarzamy, że były to wyjątki, być może bardzo liczne, w małej jednak stosunkowo ilości należące do klasy umysłowych pracowników.

Dziś, gdy nas już dwa tygodnie dzielą od świąt Wielkanocy, możemy rzucić poza siebie okiem i przypomnieć sobie, jak spędziliśmy tegoroczne święta, a oprzeć się możemy nie na fantastycznych kombinacyach, do jakich się uciekać musi kronikarz, pisząc pierwszą kronikę poświąteczną w tygodniu przedświątecznym, ale na danych statystycznych i doświadczeniu.

Otóż przedewszystkiem zanotować należy, że tegoroczna Wielkanoc, schodząca się razem z dniem pierwszego kwietnia, urządziła nam nielada niespodziankę. Jeszcze w Wielką Sobotę było zupełnie ciepło, a pyzaty księżyc spoglądał dość sennem okiem na Krakowian, wracających pod domowe dachy z rezurekcyi zamkowej i nikt nie byłby nawet przypuścił, że niedzielny ranek przyniesie nam ze sobą mróz, a w dalszym ciągu nawet śnieg i że ta temperatura utrzyma się prawie przez cały tydzień następny. Wobec tego powiewne zefiry i jedwabie, przygotowane przez nasze ziemskie anioły na oba dni świąt, pozostać musiały w szafie, nie udał się z tego powodu Emaus ani Rękawka, czyli, że tegoroczne święta minęły dla najszerszych kół bez przyjemnych wspomnień. Ta primaaprilisowa atmosferyczna niespodzianka wpłynęła ujemnie nie tylko na ludzi, ale także i na świat zwierzęcy, przedewszystkiem zaś na ptaki z wyjątkiem oczywiście gawronów. Spotykało się na plantacyach biedne wróble i innych ich krewniaków wałęsające się bezradnie i nie wiedząc, co wziąć w dzióbek, skoro ziemia i drzewa pokryły się nową szatą śniegową. Patrząc na nie, mówił sobie człowiek mimowoli w duchu, że przecież na świecie istnieje sprawiedliwość, skoro nie tylko sami ludzie muszą walczyć z trudnościami aprowizacyjnemi. A zwierzęta są o tyle w gorszem położeniu od ludzi, że człowiek, nie mając co jeść, może się z rozpaczy bodaj upić.

Na tegoroczną zimę naogół nie możemy narzekać, obeszła się z nami bowiem stosunkowo dość łaskawie, jak gdyby wiedząc o tem że teraz lada śmiertelnik na cetnar węgli pozwolić sobie nie może. Także i opady śniegowe były w tym roku dość umiarkowane, prawdopodobnie na skutek starań naszego magistratu, nie mającego odpowiednich funduszów na pokrycie kosztów czyszczenia miasta, wywożenia śniegu i t. d. W wyższych sferach był jednak jeszcze widocznie pewien kontyngent zamagazynowanego śniegu i ten trzeba było wysypać, aby się nie zepsuł przez lato, a chyba lepiej i korzystniej dla nas, że się to stało na Wielkanoc, niż gdyby miano czekać z tem do Zielonych Świąt. Mieliśmy niespodziankę na dzień *Prima Aprilis*, ale była ona mniej przykrą niż gdyby się to stało o jaki miesiąc później. Ten i ów dzwonił wprawdzie zębami z mrozu i zazdrościł Włochom, mającym nie tylko łagodniejszy klimat, ale mogącym się w razie potrzeby ogrzać całkiem gratis nad kraterem Wezuwiusza, ten kwietniowy mrozik odbił się jednak dodatnio na ruchu świątecznym, każdy bowiem czuł potrzebę łyknąć cośkolwiek, choćby tylko celem wewnętrznego ogrzania.

Gdyby komisarz do walki z drożyzną zechciał był na czas świąt przyjechać do Krakowa, byłby znalazł bardzo wdzięczne pole do studyów nad tem, jak u nas rosną ceny najważniejszych artykułów w miarę popytu za nimi. We Wielki Piątek wypłacił magistrat krakowski pobory swym funkcyonaryuszom, ci zaś rzucili się tłumnie do robienia zakupów. Masarze, piekarze, kupcy i t. p., chcąc bliźnim swoim pójść na rękę, podnieśli zaraz popołudniu wszystkie ceny, w sobotę poszły one jeszcze bardziej w górę, dopiero we wtorek po świętach, gdy popyt na towary ustał i ceny spadły. O cennik nikt się nie miał nawet czasu pytać, a urzędy, powołane do tego, aby czuwać nad ich przestrzeganiem, nie chciały widocznie utrudniać ruchu przedświątecznego.

Jednem słowem siedmdziesiąt pięć procent ludności Krakowa (bo tyle akurat wedle obliczeń miejskiego Urzędu statystycznego zajmuje się zawodowo lub z amatorstwa paskiem i lichwą,.) obchodziło święta Wielkanocne bardzo hucznie, pozostałe zaś dwadzieścia pięć procent lizało, jak to mówią, łapę i przezuwało przedwojenne wspomnienia. Ponieważ do tych dwudziestu pięciu procent należy także i kronikarz, niechaj się nikt zatem nie dziwi, że zanotował, iż tegoroczne święta były pod psem.

Z powodu wiatru, śniegu i mrozu dyabli wzięli także Emaus i Rękawkę, które zresztą z roku na rok tracą coraz bardziej swych dawnych zwolenników. Emausowi dogodzili ostatecznie Austryacy, wycinając Sikornik ze względów strategicznych, Rękawka straciła swój urok z chwilą, gdy anektowaliśmy Podgórze. Dawniej, wybierając się na górę Lasoty, miał każdy Krakowianin na kilka tygodni do chwalenia się, co widział i co przeżył przez te kilka godzin pobytu „w Galicyi", obecnie, gdy Podgórze właściwie skasowano i ta wycieczka straciła dawny swój urok, zwłaszcza, że Podgórzanie zbyt szybko przyswoili sobie nasze zasady i dziś niczem nie różnią się od Starokrakowian, którym zawsze przyświecała praktyczna myśl: „Pamiętaj tylko o tem, aby tobie dobrze było, a na resztę gwizdaj!..". Nie mają też Podgórzanie nic przeciw temu, abyśmy ich w trzeci dzień świąt Wielkanocy odwiedzali, ale pod warunkiem, aby oni z tego odnieśli jakąś korzyść materyalną.

Wobec tego zupełnie uzasadnionem było zakończenie poprzedniej kroniki, wypowiedziane w proroczym duchu, że rozmyślania świąteczne opłacała nadzieja, iż następne święta Wielkanocne będą już stanowczo lepsze. Inaczej być nie może, jeśli się zważy, że pan minister skarbu dokłada wszelkich starań, aby nasza waluta się poprawiła, a choć narazie jest tylko papier lepszy, na jakim bije się nowe emisye papierów bankowych i to przecież już coś znaczy. Jeśli się zaś doda do tego, że komisarz do walki z drożyzną obiecał nam bardzo dużo, zebrawszy to wszystko razem musimy spokojniej spoglądać w przyszłość, ale uzbrojeni w cierpliwość, bo, jak powiedział mędrzec Pański, wielkie rzeczy tworzą się pomału, a potwierdził to i pan minister Grabski, określając termin poprawy naszych stosunków co najmniej na trzy lata.

Tegoroczne święta Wielkanocne miały także i swoje polityczne znaczenie. W Spale, dokąd wybrał się prezydent Wojciechowski, odbył się zjazd kierowników naszej polityki. Nad czem radzono, tego nie wiemy, z komunikatów warszawskich pism, które na miejsce wysłały swych specyalnych sprawozdawców, dowiedzieliśmy się tylko tyle, że prezydent Wojciechowski chodził często na spacer, a jenerał Sikorski używał rano konnej przejażdżki, a potem grał w tennisa z panią marszałkową Ratajową. W każdym razie należy przypuścić, że musiano, bodajby mimochodem, poruszyć sprawy, dotyczące obecnej naszej sytuacyi, zwłaszcza, że znajdujemy się w przededniu tego, co nam zapowiadano już kilka miesięcy wstecz, mianowicie utworzenia parlamentarnej większości prawicowo-centrowej, polegającej na zjednoczeniu się grup prawicowych z Piastowcami. Przypuszczenie to potwierdza także przybycie do Krakowa w ubiegłym tygodniu głównych menerów Narodowej Demokracyi oraz naczelnego dowództwa stronnictwa Piastowców. Z całą stanowczością należy twierdzić, że dla przyjemności lub wytchnienia nie zjechali się ci panowie w podwawelskim Grodzie, gdyby bowiem krokami ich kierowała chęć rozrywki, zaleźliby ją sobie i taniej i w lepszym gatunku gdzieindziej, wobec czego nasunąć się musi przypuszczenie, że sprowadza ich tu jakiś wspólny interes. A ponieważ w ostatnich czasach coraz bardziej pękają lody, a Narodowa Demokracya robi słodkie oko w stronę Piasta, a ten nie pozostaje jej dłużnym zdaje się zatem nie być pozbawioną prawdy pogłoska, że „spotkają się dwie Marysie..." i dadzą sobie buzi, a w ten sposób raz przecież doczekamy się parlamentarnej większości, która, daj Boże, aby nam wyszła na zdrowie. Miesiąc temu wstecz wymyślały sobie obydwa kierunki polityczne, co się zmieści, ostatecznie jednak, czyniąc sobie wzajemne ustępstwa, dobito targu. Szkoda, że się to stanie tak późno, ale w każdym razie dobrze będzie, jeśli kombinacya dojdzie do skutku, bo w takim stanie niepewności politycznej, jak dotychczas, dłuższa, dalsza wegetacya była już nie do pomyślenia. Gdyby prawica złączyła się z Piastowcami, oparty na niej rząd mógłby liczyć na powodzenie, a bezstronny obserwator powiedziałby wówczas: „Czy to nie szkoda tego czasu, jaki się dotąd bezowocnie zmarnowało?...".

Sprawa naszych granic wschodnich została nareszcie ostatecznie urzędowo załatwioną w myśl naszych żądań, a przeciw intrygom panów Petruszewyczów, Lewickich, Szeptyckich, którym Zachodnia Ukraina spać nie dawała. Oprócz drobnych poprawek na zachodzie pozostaje nam zatem jeszcze na południu do załatania czeska dziura w Jaworzynie. Gdy się to stanie, nie będzie nam już wiać z żadnej strony. Ale bracia Czesi, zapewne w imię jedności słowiańskiej, starają się nam na każdym kroku podstawić nogę, a pomagającym im do tego nie brak. Upierają się przy tem, że Jaworzyna ma strategiczne znaczenie ze względu na przebiegającą dość daleko od niej kolej koszycko-bogumińską i ten ważny motyw podnoszą stale, ilekroć ta sprawa zdaje się zbliżać do rozstrzygnięcia. Ponieważ zaś świat jest dziś pokojowo usposobiony, to znaczy, że względy strategiczne odgrywają wszędzie pierwszą rolę, pewni są Czesi, że uda się im postawić na swojem, bo ktoby się tam pytał w tym wypadku o prawa historyczne, wolę ludu lub podobne głupstwa.

Zagraniczna polityka nie interesowała nas zbytnio w tym czasie, zwłaszcza, że widoczny jest w niej pewien zastój, wywołany być może świętami Wielkanocnemi, a może także i zniechęceniem, które najcierpliwszego może wyprowadzić z równowagi, gdy patrzy na to młócenie słomy, z którego nikt korzyści nie odnosi. Przypomnieli się wprawdzie bolszewicy pamięci Europy ohydnem zamordowaniem prałata Butkiewicza, ale z Rosyą sowiecką zaczynają się nawet i jej przyjaciele liczyć poważnie, bo coraz częściej przedstawia się im we właściwym świetle. Właściwie też nie powinna była nikogo zdziwić primaaprilisowa notatka jednego z pism, puszczona ze żartu, ale powtórzona z wiarą przez inne, że osławiony Dąbal uciekł z powrotem z Rosyi do Polski. Słysząc i czytając o tem, jakie pod błogosławionymi rządami czerwonych carów stosunki panują, można było uwierzyć, że nawet Dąbalowi wylazły one bokiem.

Bardziej interesowała cały świat zemsta, jaką nieboszczyk Faraon Tutankhamon wywarł na mącicielu swojego wiecznego spokoju lordzie Carnarvonie, ale o tem dopiero w następnym numerze, gdyż nieubłagany pan metrampaż oświadcza kategorycznie:

— Nie da rady!... Nie wlezie.

A spoczywał Faraon tyle lat, czekając na odwiedziny ciekawych Anglików, może poczekać i tydzień, aby *Nowości Illustrowane* wyraziły swe oburzenie pod adresem tych jegomościów, którzy dla interesu, a pod pokrywką nauki, naruszają miejsca wiecznego spoczynku.



Niezwykły „raid“ samochodowy: Przybycie do Timbuktu pierwszego kuryera, który przebył Saharę w samochodzie.

swoim przerąbywać drogę siekierami i młotami. Ostatnią stacyą podróżników było Timbuktu, stamtad jednak karawana wróciła przez pustynię, tą samą drogą do miejsca wyruszenia, aby władze tem dosadniej przekonać o możliwości przejazdu przez Saharę.

Wobec tak pomyślnego wyniku tego niezwykłego „raidu“ samochodowego warto przypomnieć tu szczegóły podróży. Wyprawa wyruszyła na 5 samochodach francuskiej fabryki Citroen. Ze względu na specyalny teren, jaki przedstawia sobą dla samochodu pustynia afrykańska, tylne koła zastąpiono napędem gąsienicowym, podobnym do napędu czołgów. Również i nadwozia przystosowano specyalnie do tej wielkiej wyprawy, umieszczając w nich wszelkie potrzebne rzeczy.

Droga prowadzi z Algieru przez Tugurt, Kwargla-Inifel, In Salak, Arok, Hoggar, Tamanrasol, oazy: Tit, Tin, Zaotaen, warownie: Kidal i Burem do Timbuktu. Wyprawa zaopatrzyła się w radyostacye, z pomocą których mogła się porozumiewać ze stacyami w Inifelu, In Salak i innych, a jedynie podczas przebywania „krainy pragnienia“ zwanej Tanezruff wszelki kontakt z osadami ludzkiemi był niemożliwy.

Kierownictwo wyprawy spoczywało w rękach p. G. M. Hardt, naczelnego dyrektora Citroena i p. Ludwika Dubrenil, zdemobilizowanego oficera-pilota. Na szoferów wybrano nie tylko ludzi wytrawnych, ale i nader wytrzymałych. Wogóle wszyscy uczestnicy poddali się sumiennym badaniom lekarskim, które orzekły czy budowa ich organizmów wytrzyma podobną jazdę.

Ponieważ gorąco afrykańskie rozgrzałoby zbyt szybko wodę i chłodzenie silnika nie odpowiadałoby potrzebom — samochody wyprawy zaopatrzono w specyalne dodatkowe chłodnice oraz urządzenia do chwytania całej pary wodnej, aby na pustyni nie stracić daremnie ani jednej kropli drogocennej wody.

Wszystkie samochody posiadają oświetlenie elektryczne, zegarek, szybkościomierz, miernik do benzyny, licznik kilometrów koła oraz haki do wleczenia i wyciągania samochodów, gdy nie będzie on w stanie ruszyć o własnej sile. Samochody są lakierowane na biało i ozdobione alegorycznymi rysunkami. Dwa siedzenia zbudowane z przodu umieszczone są w ten sposób, iż można między niemi ustawić siedzenie dla trzeciego podróżnego. Pod drugim zbiornikiem umieszczono duże skrzynki, zrobione z blachy aluminiowej i zaopatrzone w szereg przegródek, zawierających żywność, lekarstwa, narzędzia, amunicyę, łóżko składane, części wymiennie do samochodów i t. p. potrzebne rzeczy. Nie zapomniano również o wodzie i każdy samochód zabierał po 2 zbiorniki sześćdziesięciolitrowe. Stół jadalny otrzymuje się łatwo przez zdjęcie pokrywy skrzynki.

Ze względu na możność napadu tak zwierząt, jak i ludzi, wyprawa zabrała 2 karabiny maszynowe, 10 karabinów kawaleryjskich i 10 rewolwerów oraz zaopatrzyła trzy wozy w specyalnie silne reflektory.

Pomyślny przebieg wyprawy zawdzięczają oni w dużym stopniu nader starannym przygotowaniom organizacyjnym, trwającym parę miesięcy, podczas których z jednej strony szykowano wozy, z drugiej zaopatrywano punkty etapowe we wszystko potrzebne.

Kompletne urządzenie kinematograficzne pozwoliło wyprawie utrwalić wszystkie ciekawe momenty i możliwe, że w krótkim już czasie świat cały podziwiać będzie film, wyświetlający grozy i cuda Sahary, oraz męstwo śmiałków, którzy przebyli ją dwukrotnie na samochodach.

Śmierć znakomitego artysty dramatycznego.

(Kr.) — Zupełnie niespodzianie, w całej pełni rozwoju wielkiego swego talentu, po szczęśliwie przebytej kuracyi ciężkiej choroby sercowej — zgasł nagle znakomity artysta dramatyczny, reżyser „Bagateli“ krakowskiej — Jan Nowacki. Zgasł w sile wieku (52 lat życia), w chwili kiedy wszystko zdawało się wróżyć, że niezamąconego szczęścia będzie długie jeszcze lata zażywał.

Śp. Nowacki rozpoczął chlubną swą karyerę sceniczną we Lwowie. W Krakowie dał się poznać za dyrekcyi Pawlikowskiego. Wystąpił wtedy już jako dojrzały talent i reżyser teatru lwowskiego. Wystąpił gościnnie jako Maciuś w „Zaczarowanem kole“ Rydla i zdobył sobie od razu publiczność i krytykę.



Śmierć znakomitego artysty dramatycznego: Ś. p. Jan Nowacki.

Do najznamienitszych ról jego należał między innemi, Albin w „Ślubach panieńskich“ - charakterystyczną jego cechą był szczery liryzm i serdeczność. Śp. Nowacki miał obchodzić jubileusz swej 35-letniej pracy dla sceny, spędzonej przeważnie we Lwowie i podczas wojny w teatrze polskim w Wiedniu, skąd powrócił do Lwowa, a potem w „Bagateli“ objął naczelną reżyseryę. Znakomity artysta, zacny człowiek i dobry obywatel kraju zostawia szczery żal po sobie u tych wszystkich, którzy mieli sposobność nietylko podziwiać Go na scenie, lecz i w prywatnem życiu poznać.



Z życia naszej młodzieży: „Jaś i Małgosia“ w teatrze amatorskim Szkoły realnej we Lwowie.

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE

Konkurs piękności rozpoczynają w niniejszym numerze przyszłe artystki filmowe z wytwórni *Elka-Film*. Doskonały ten zespół mieliśmy już sposobność widzieć przy pracy i podziwiać jego grę, która bezsprzecznie stoi na wysokości wszelkich najwybredniejszych wymagań współczesnej techniki. Uznanie, jakiem się już dziś cieszą adeptki tej wytwórni, budzi słuszne życzenie rychłego ujrzenia ich na obrazach filmowych, półroczna bowiem praca, która wydała tak znakomite wyniki, zniewoli zapewne zasłużoną w tej imprezię Dyrekcyę *Elka-Film* do wystąpienia na widownię publiczną z dotychczasowym zespołem artystek. Z pierwszym zespołem adeptów tej Szkoły artystycznej zaznajamiamy naszych P. T. Czytelników, podając podobizny pp. H. Suligowskiej, E. Rygier Słoneckiej, M. Gronusiowej, T. Wodzickiej, M. Buchowieckiej, L. Wądrzykowej, M. Serwinowej, J. Gidlewskiej i L. Bereżyńskiej. Szkoła *Elka-Film* daje zatem pełną gwarancyę, że stanie się wkrótce jedną z najlepszych szkół w kraju, śmiało mogących rywalizować z już istniejącymi europejskimi zakładami o światowej sławie.

W następnych numerach zamieścimy nadesłane nam fotografie pań zarówno z Krakowa, jak i innych miast Polski.

W jednym z najbliższych numerów podamy również warunki „plebiscytu", t. j. głosowania Czytelników „Nowości Illustrowanych", którym przypadnie miły obowiązek wybrania z tego grona pięknych pań — trzech najpiękniejszych. Te trzy „najpiękniejsze z najpiękniejszych" otrzymają dyplomy i nagrody „Nowości Illustrowanych".



Hanka Suligowska.



Emilja Rygier Słonecka.



Marya Gronusiowa.



Taida Wodzicka.



Janka Gidlewska.



Lydia Wądrzykowa.



Ludmiła Bereżyńska.



M. Buchowiecka.



Marya Serwinowa.

Wystawa uczniów Matejki.

(Do illustracyi na str. 3).

W pałacu sztuki otwarto w ubiegłą niedzielę interesującą wystawę prac seniorów malarstwa polskiego, uczniów Matejki pp. Włodzimierza Tetmajera, Ludwika Stasiaka, Wincentego Wodzinowskiego, Kaspra Żelechowskiego i Stanisława Radziejowskiego.

Wszystkie te nazwiska mówią same za siebie. Któż nie zna barwnych, a tak swojskich obrazów Tetmajera? Tak samo, jak dzieł malarskich Stasiaka, Radziejowskiego, Wodzinowskiego i Żeleńskiego? Wszystko to są nasi dobrzy znajomi, którzy w swej długoletniej pracy malarskiej położyli wielkie zasługi na ołtarzu prawdziwej sztuki. Nie gonią oni za „nowinkami", lecz stwarzają dzieła prawdziwej wartości artystycznej, których na otwartej wystawie znalazła się zaledwie część nieznaczna. Są tam rzeczy i dawniejsze, a także i najnowsze prace, jak nap. Radziejowskiego pełne nastroju „Bajki". Nie wymieniamy innych prac, odkładając to do numeru, w którym zamieścimy zdjęcia z tej interesującej wystawy.

Zgon działacza emigracyjnego.

(Do illustracyi na str. 4).

W czasie urzędowania zmarł nagle dyrektor Urzędu Emigracyjnego w Warszawie s. p. Józef Okołowicz. Zmarły był niewątpliwie najlepszym w Polsce znawcą spraw emigracyi zamorskiej, którym poświęcił przeważną część ruchliwej działalności życiowej. Odbywszy dłuższą podróż po Brazylii, dla zbadania warunków kolonizacyjnych w Paranie, przy pomocy szeregu wybitnych osobistości przystąpił do stworzenia w Krakowie Pol Tow. Emigracyjnego. Mimo szczupłych środków i gwałtownej walki, podjętej przez pośredników linii okrętowych umiał Okołowicz stworzyć z Towarzystwa Emigracyjnego instytucyę, która wydzierając dziesiątki tysięcy niezaradnych emigrantów ze szponów hyen emigracyjnych, przyczyniła się w wysokim stopniu do uzdrowienia stosunków emigracyjnych, a zarazem zaczęła wywierać korzystny wpływ na politykę emigracyjną Austryi.

Rozwój Tow. Emigracyjnego przerwała wojna. Po ukończeniu wojny powrócił Okołowicz do organizowania zaczątków przyszłego Urzędu Emigracyjnego pod nazwą Sekcyi emigracyi i pośrednictwa pracy przy Ministerstwie Opieki Społecznej. Następnie udał się do Kanady, obejmując stanowisko konsula jeneralnego w Montreal. Zaznajomiwszy się z terenem emigracyjnym kanadyjskim, objął w roku zeszłym kierownictwo Urzędu Emigracyjnego.

Na tem stanowisku zamierzał zużytkować doświadczenia całego życia i znajomość przedmiotu dla położenia podwalin polskiej polityki emigracyjnej. Szeroko zakreślone plany przerwała śmierć, ale pozostła po nim bogata spuścizna, na której jego następcy będą mogli budować trwałe dzieło.

Z sali koncertowej.

Niezwykłą atrakcyą najbliższego „niedzielnego Symfonicznego Koncertu", który odbędzie się w Starym Teatrze dnia 15 b. m. o godz. 12 w południe, będzie współudział sławnej dziś na całym kontynencie, młodocianej wiolonczelistki węgierskiej: Judyty Bokor. Artystka, która ukończyła zaledwie 22 rok życia, słynie nie tylko ze swego fenomenalnego talentu — „z bożej łaski" — jak się zgodnie wyraża o niej cała prasa zagraniczna, lecz także i z innego daru niebios t. j. niezwykłej urody. To też każdorazowy występ „wielkiej mistrzyni",



Z sali koncertowej: Judyta Bokor, słynna wiolonczelistka węgierska, solistka Niedzielnego Koncertu Symfonicznego (15. b. m.).

rywalki rozgłośnej swojego czasu angielskiej wiolonczelistki Harrison, staje się prawdziwą senzacyą w życiu artystycznem stołecznych ognisk muzycznych Europy i Ameryki. Bokor dzięki tym dwom dziwnie skojarzonym darom natury zdobyła sobie wyjątkowo szybko sławę, równą największym odtwórcom tej gałęzi sztuki.

Studya swe rozpoczęła artystka już w 9. roku życia, a wyjątkowe zdolności dziecka zwróciły wkrótce na siebie uwagę znakomitego profesora gry na tym instrumencie: Dawida Poppera, który też niezwłocznie zajął się jej talentem całą duszą. Po otrzymaniu zaszczytnego dyplomu ukończenia Król. Akademii muzycznej w Budapeszcie, udała się młoda artystka do Berlina, gdzie dokończyła ostatecznie swych studyów u sławnego profesora i koncertmistrza gry wiolonczelowej: Hugona Bekkera. Już w czasie wojny zbierać zaczęła laury jako koncertantka w stolicach Niemiec i Austryi, a w r. 1919 rozpoczęła tournée po całej Europie, odnosząc wszędzie zarówno u publiczności, jak i fachowej krytyki niebywałe sukcesy i pochwały. Entuzyazm dla wielkiej artystki wzrastał odtąd ciągle, gdziekolwiek odbyły się jej występy. W ubiegłym sezonie wystąpiła Judyta Bokor na 72 koncertach w stołecznych miastach kontynentu. Wszędzie słuchano gry jej z niekłamanym zachwytem, a prasa prześcigała się w pochwałach, podnosząc zgodnie przedewszystkiem wyjątkową muzykalność feno-

menalnej artystki, ogromną uczuciowość i ekspresyę, subtelny miękki i śpiewny ton obok nadzwyczajnej, wprost męskiej siły, brawurowej techniki i typowo węgierskiego, żywiołowego temperamentu.

Po długotrwałych staraniach powiodło się „Krajowemu Biuru Teatralnemu i Koncertowemu dyr. Witolda Hergeta“ pozyskać tę świetną artystkę na jeden występ w naszem mieście.

Z życia naszej młodzieży.

(do illustracyi na str. 4 i 9.)

Pomimo trudnych warunków życia młodzież szkół średnich poza nauką szkolną oddaje się również pracy wewnętrznej i rozrywkom, które łącząc przyjemne z pożytecznem, wytwarzają przy szkołach ogniska życia kulturalnego. Jedną z takich rozrywek kulturalnych są przedstawienia amatorskie. Niedawno odbyło się podobne przedstawienie w Szkole realnej we Lwowie, na którem młodociany zespół artystów odegrał „Jasia i Małgosię“.

Zamieszczona illustracya przedstawia głównych bohaterów sztuki na scenie. Pozatem podajemy zbiorową fotografię uczniów-amatorów, biorących udział w przedstawieniu.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się po umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honorarium, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam Redakcyę „Nowości Illustrowanych“ do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(Własnoręczny podpis):

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie)

Miasto (ostatnia stacya pocztowa)

Ulica Nr.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.